

Komentarz do artykułu pt. „Wystrzałowe zyski z komercyjnych polowań”

Z prawdziwym zdumieniem przeczytałem w „Rzeczpospolitej” z 7 grudnia 2018 r. materiał autorstwa Aleksandry Ptak-Iglewskiej pt. „Wystrzałowe zyski z komercyjnych polowań”. Moje zdziwienie było spowodowane przede wszystkim tym, że do tej pory uważałem ten dziennik za poważny i zrównoważony w opiniach, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie prawne i ekonomiczne. Dlatego natknę się w dziale „Ekonomia & Rynek” na tekst, który zamiast rzeczowo przedstawiać omawiane zagadnienie, podchodzi do niego w sposób sensacyjny i tendencyjnie, musiało wywołać negatywną reakcję. Aby nie być gołosłownym, pozwolę sobie dokonać szerszej analizy przedmiotowego artykułu i poruszonych w nim problemów.

Zacznijmy od materiału na pierwszej stronie, z reguły zarezerwowanej na główne newsy czy sensacje z poprzedniego dnia. W tym przypadku taką sensacją okazuje się cennik polowań komercyjnych, bez problemu dostępny w internecie dla każdego zainteresowanego! O ile wiem, a prenumeruję „Rzeczpospolitą” ponad ćwierć wieku, nie ma ona w zwyczaju publikować cenników na pierwszej stronie. Może i szkoda, bo np. podanie cennika luksusowych aut byłoby pewnie ciekawe (i prawdopodobnie bulwersujące) dla wielu czytelników. Ale tu chodziło nie o to, co jest interesujące, tylko o wytworzenie atmosfery sensacji! Wskazuje na to również tytuł materiału zamieszczony na pierwszej stronie: „Polowanie za grube miliony”. Równie sensacyjne są śródtytuły w głównej części materiału, np. „Krwawe miliony”. Nie przypominam sobie, by „Rzeczpospolita” pisała w taki sposób o innych rodzajach działalności gospodarczej. Wręcz przeciwnie, zazwyczaj z zadowoleniem podkreśla, że taka czy inna branża osiąga duże zyski. Dlaczego zatem organizowanie polowań komercyjnych przez upoważnione do tego podmioty zostało potraktowane jako działalność, z której osiąganie zysku stanowi sensację, a do tego jest moralnie naganne?

Aleksandra Ptak-Iglewska wrzuciła do jednego worka polowania komercyjne organizowane przez koła łowieckie i ośrodki hodowli zwierząt. Dodała do tego jeszcze biura polowań, a więc przedsiębiorców świadczących usługi pośrednictwa w zakresie polowań komercyjnych. Jeśli chodzi o koła łowieckie, to autorka wymienia kwoty uzyskane przez nie z tytułu sprzedaży polowań komercyjnych i sprzedaży tusz zwierząt pozyskanej przez członków. Nie pisze jednak o tym, jak te pieniądze są wydawane.

Otóż koła łowieckie nie stanowią spółek prawa handlowego i nie wypłacają zysku swoim członkom! Wszystkie pieniądze muszą zostać spożytkowane na cele związane ze statutową działalnością kół, a więc prowadzeniem gospodarki łowieckiej. W praktyce te środki przeznacza się przede wszystkim na wypłacanie rolnikom odszkodowań za szkody wyrządzone w uprawach rolnych przez zwierzę. To właśnie dzierżawcy obwodów łowieckich (a więc koła) są zobowiązani do wypłaty tych odszkodowań. Tyle że gdyby mieli to robić ze środków własnych, nie byłoby ich na to stać. Zrezygnowaliby z uprawiania myślistwa, a wtedy szkody musiałoby rekompensować państwo. Polowania komercyjne stanowią sposób na wyjście z tej patowej sytuacji. Na ten temat w artykule nie ma jednak ani słowa!

Całkowicie inaczej to wygląda w przypadku OHZ-etów. Ich działalność wzbudza wiele kontrowersji, także w środowisku myśliwych, ale z zupełnie odmiennych powodów niż te wskazane w artykule. Autorka usiłuje zaszokować czytelników kwotami uzyskiwanymi przez OHZ-ety z tytułu organizowania polowań komercyjnych, a zwłaszcza ich cennikami. Ceny dyktuje rynek. Polowania komercyjne organizuje się w całej Europie i stawki oferowane w Polsce muszą być konkurencyjne. Rzecz w tym – o czym autorka już nie pisze – że działalność OHZ-etów przy tak dużych przychodach nie przynosi zysków. I to jest temat, który należałoby przeanalizować, a nie ekscytować się wysokością przychodów. Kolejne pytanie, które powinno się pojawić w tym artykule, brzmi: Skoro OHZ-ety prowadzą praktycznie wyłącznie działalność komercyjną, to dlaczego nie mogą się nią zajmować prywatni przedsiębiorcy? Jestem przekonany, że wtedy okazałaby się ona zyskowna, co przekładałoby się na wpływy do budżetu państwa.

Jeśli chodzi o biura polowań, to prowadzą je – i słusznie – prywatni przedsiębiorcy. Należy domniemywać, że zarabiają na tym i płacą podatki. Ale również w tym przypadku autorka artykułu nie przejawia żadnej radości z tego powodu. Wręcz przeciwnie – usiłuje zaszokować informacją, że część z tych biur generuje nawet 5 mln zł przychodu rocznie. Z tego, co wiem, ich marża waha się od 5% do 10%, więc nie są to zyski, które mogłyby wstrząsnąć czytelnikami „Rzeczpospolitej”.

Artykuł Aleksandry Ptak-Iglewskiej nawiązuje do odbywającego się w grudniu

ub.r. w Katowicach szczytu klimatycznego, a zwłaszcza do kontrowersji wokół tego, że w jego trakcie podano uczestnikom dania z dziczyzny. Tę kwestię kilka dni wcześniej podniosła w „Rzeczpospolitej” Zuzanna Dąbrowska, pisząc o wstrząsie przeżytym przez niektórych uczestników, gdy się zorientowali, że dla zaspokojenia ich potrzeb żywieniowych „musiał zginąć niewinny jelen”. Tego typu komentarz w poważnym dzienniku jest wręcz szokujący. Wydawałoby się, że przyrządzenie dla uczestników szczytu klimatycznego najzdrowszego mięsa, jakie niewątpliwie stanowi dziczyzna, zasługuje na pochwałę, a nie na krytykę. Tym bardziej że Polska zalicza się do jego dużych eksporterów. Zdaniem Zuzanny Dąbrowskiej, której sekunduje Aleksandra Ptak-Iglewska, problem polegał jednak na tym, że podano „niewinnego jelenia”! Należy rozumieć, że organizatorzy powinni wybrać wołowinę albo drób, bo krowy czy kurczaki zapewne czymś „zawiniły”. Niestety, red. Dąbrowska nie zechciała wytłumaczyć, które zwierzęta uważa za winne, a które za niewinne, i dlaczego.

W swoim artykule Aleksandra Ptak-Iglewska cytuje opinię jednej z organizacji zielonych, która zwraca uwagę, że „do niedawna było zupełnie cicho o niebezpieczeństwach, jakie dla zwykłego obywatela w lesie niosą pozbawieni kontroli myśliwi”. I znów ani krztyny krytycznej refleksji ze strony autorki przytaczającej takie poglądy. Jacy „pozbawieni kontroli myśliwi”? Akurat wykonywanie polowań, zwłaszcza zbiorowych, jest ściśle regulowane przez prawo. Jak można tu w ogóle mówić o braku kontroli? A kiedy w Sejmie toczyła się debata nad prawem łowieckim i myśliwi chcieli ze względów bezpieczeństwa wprowadzenia zakazu wstępu do lasu w czasie polowania zbiorowego, ci sami zieloni protestowali przeciw takiemu zapisowi. Dlaczego gdy leśnicy wykonują wycinkę drzew, to wstęp do lasu może być zakazany, a jak odbywa się tam polowanie, to nie? Czysta hipokryzja!

Muszę przyznać, że nie rozumiem, w jaki sposób opisywany artykuł znalazł się w „Rzeczpospolitej”. A tym bardziej w dziale „Ekonomia”. Do tej pory myślałem, że teksty o charakterze ideologicznym są zamieszczane w dziale „Opinie”. Wydawało mi się też, że redakcja ma bardziej krytyczny stosunek do nadsyłanych materiałów.

Witold Daniłowicz

Artykuł ukazał się w „Rzeczpospolitej” z 14 grudnia 2018 r.